

Odpowiedzialność, która pozostaje

Tomasz Stefanek

„...w sferze nadziei pozostawili to, co było dla nich zakryte – niepewność zwycięstwa – zdecydowali się zaś na to, co było widoczne – na czyn. [...] Przed obecnymi zaś tutaj synami i braćmi poległych widzę wielkie zadanie współzawodnictwa.”
Tukidydes, „Wojna peloponeska”, II, 42-46.

Kiedy rozmyślam dziś na gorąco nad bilansem tak tragicznie przerwanej kadencji mojego Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, mam przed oczyma przede wszystkim dwa wydarzenia. Nie jest to żadne z przemówień podczas licznych uroczystości rocznicowych, nadanie odznaczenia, ani wspiana defilada z 15 sierpnia 2008 roku, która okazała się przecież wielkim sukcesem. Wspominam natomiast negocjacje nad Traktatem Lizbońskim w czerwcu 2007 roku, a w szczególności wyjazd Lecha Kaczyńskiego do Gruzji na czele koalicji głów państw narodów Europy Środkowo-Wschodniej w dramatycznych okolicznościach sierpnia roku 2008. Bo choć prezydent rzeczywiście przywiązywał wielką wagę do polskiej historii i przypisywał gestom symbolicznym należną im rolę oraz jako pierwszy w ostatnich dwudziestu latach postawił na konsekwentną politykę pamięci, to z pewnością swoją polityczną misję postrzegał znacznie szerzej.

Pragnął mocniej i na trwałe osadzić Polaków wraz z naszym niepodległym, silnym państwem w tym miejscu na mapie Europy, w którym przyszło nam żyć, a tym samym na stałe umocować nas wreszcie w historii. Nie zabrakło prezydentowi owej szczególnej cnoty politycznej – wyjątkowego hartu ducha, który polscy tłumacze literatury antycznej zwykli nazywać „dzielnością” – aby podejmować ryzykowną grę z losem i rywalami Polaków o to miejsce w przestrzeni geograficznej i procesie dziejowym, gdzie mogliśmy się w końcu zagospodarować i poczuć u siebie.

Rozważając oba wspomniane momenty prezydentury Lecha Kaczyńskiego, zastanawiam się nad tym, jak wiele trzeba było wówczas odwagi, gotowości zmagania się z krytyką w kraju i poza nim, jak wiele starań i sprzyjających w gruncie rzeczy okoliczności, które nie musiały wcale nastąpić, a jednocześnie przecież w obu przypadkach zabrakło czegoś do pełnego sukcesu. Przyglądając się dziś kolejnej wielkiej mobilizacji Polaków i czynnie w niej uczestnicząc, wpatrując się w dywan kwiatów i zniczy na Krakowskim Przedmieściu oraz słuchając w gmachu katedry sobotniej homilii arcybiskupa Nycza, wciąż nie znajduję niestety odpowiedzi na dręczące mnie pytania: kto podczas kolejnych negocjacji zdecyduje się choćby zgłosić propozycję głosowania pierwiastkowego i kto następnym razem przynajmniej zadzwoni do przywódców państw Europy Środkowo-Wschodniej, aby zachęcić ich do wspólnego działania? Kto będzie troszczył się o polskie dziedzictwo i rozwój instytucji polityki pamięci, jak czynił to Tomasz Merta? I kto napisze książkę o tradycji politycznej I RP, którą planował? Kto równie odważnie pokieruje Instytutem Pamięci Narodowej i kto podejmie badania mediewistyczne Janusza Kurtyki? Kto w dyskusji z przedstawicielami korporacji prawniczych będzie tak zdecydowany, jak Janusz Kochanowski? Z kim po śmierci Władysława Stasiaka będę mógł wiązać nadzieję na roztropną polską politykę w najbliższej przyszłości?

Bardzo się obawiam, że nazbyt zapamiętamy się w tej żałobie; że zbyt łatwo przyjmemy tę misję, którą historia nieustannie chce nam wyznaczać; że się z nią pogodzimy; że przyzwyczaimy się do roli tych, których niezasłużone klęski i niepowodzenia mają nieustannie świadczyć o prawdzie, którą głoszą; że gotowe do zapalenia znicze i białoczerwone flagi przepasane kirem nauczymy się zawsze trzymać w zanadrzu.

Polska jest dziś w centrum zainteresowania ludzi na całym świecie. Zewsząd płyną słowa współczucia i wyrazy solidarności. Podobno otwiera się szansa na prawdziwe polsko-rosyjskie pojednanie a dzięki sobotniej ofierze cały świat będzie wreszcie pamiętał o mordzie polskich oficerów w Katyniu. Ale ja nie mogę pozbyć się wrażenia, że znów płacimy zbyt wysoką cenę. A kiedy słyszę ciepłe wypowiedzi prezydenta Miedwiediewa i premiera Putina skierowane do Polaków, muszę przyznać, że w myśli wciąż dźwięczą mi słowa Konrada z „Wyzwolenia”, które wspólnie czytaliśmy w tym roku podczas seminarium „Teologii Politycznej”: „Ja nie chcę, abyś ty się tym interesował, to jest: opiekował. Ja chcę, żeby te rzeczy były tobie narzucone i żebyś ty wobec nich stał się niczym”.

Każda z ofiar sobotniej katastrofy zasługuje na osobne wspomnienie. Czuwając przed Pałacem Prezydenckim i wpatrując się w ich zdjęcia, musimy opowiedzieć sobie historię życia każdej z tych osób, aby zrozumieć ogrom wysiłków i działań podejmowanych na rzecz wspólnego dobra, dostrzec poświęcenie towarzyszące projektom udanym oraz tym zakończonym klęską i wreszcie oduczyć się szydzić z tych, którzy codziennie służą naszej Ojczyźnie. A służba ta – dziś już nie trzeba nikogo przekonywać – wiąże się z ryzykiem i narażeniem życia. Tylko refleksja tego rodzaju pozwoli być może pojąć znaczenie sobotniego wydarzenia – zarówno rozmiar poniesionej straty, jak i ogrom odpowiedzialności, która pozostaje.